

Ryszard Szewczyk

Inflacja ante portas?

Czemu ma służyć polityka gospodarcza?

Politykę gospodarczą prowadzą we współczesnych państwach o tzw. gospodarce rynkowej dwa ośrodki władzy, zazwyczaj niezależne od siebie, a mianowicie rząd i bank centralny. Każdy z nich ma nieco inne kompetencje i inne instrumenty do dyspozycji, ale prowadzona przez nie polityka ma prowadzić – według teorii – do osiągnięcia czterech celów makroekonomicznych, którymi są:

- stały i zrównoważony wzrost gospodarczy,
- pełne zatrudnienie,
- stabilizacja cen oraz
- równowaga w obrotach gospodarczych z zagranicą.

Cele te określa się czasem w literaturze fachowej jako „magiczny” czworołuk, ponieważ nie można osiągnąć wszystkich na raz ze względu na ich wzajemną konkurencyjność. Istnieje dość duża zgodność poglądów, że wzrost gospodarczy i pełne zatrudnienie, jako cele polityki, pozostają w harmonii, ale ich osiągnięcie na ogół prowadzi do niemożności realizacji celów pozostałych. Uważa się, iż w szczególnie mocnej opozycji pozostają względem siebie zatrudnienie i stabilność cen oraz wzrost gospodarczy i stabilność cen, a w trochę słabszej – rozwój gospodarczy i równowaga zewnętrzna.

Całe nieszczęście współczesnych stosunków gospodarczych polega na tym, że takie pojęcia jak wzrost gospodarczy oraz pełne zatrudnienie są intuicyjnie zrozumiałe dla każdego. Nikt nie ma najmniejszych wątpliwości, że szybsze tempo wzrostu produktu krajowego brutto jest lepsze od wolniejszego, a pełne zatrudnienie – lepsze od bezrobocia. W związku z tym obrona stabilności cen oraz równowagi zewnętrznej ma niewielkie szanse na zdobycie większej liczby zwolenników, zwłaszcza gdy zostanie przedstawiona jako alternatywa wzrostu gospodarczego i wzrostu zatrudnienia. Jakże bowiem bronić jakiegoś abstrakcyjnego, niezrozumiałego dla zwykłych ludzi wskaźnika inflacji, czy też równowagi bilansu płatniczego, skoro na drugiej szali leży dobro ludzi, i to dobro widziane podwójnie; jako możliwość pracy i osiągania dochodów przez konkretnych ludzi oraz jako możliwość osiągnięcia przez kraj wzrostu gospodarczego,

który powszechnie jest kojarzony ze wzrostem dobrobytu? Politycy deklarujący realizację pierwszych dwóch celów makroekonomicznych bez trudu znajdują poparcie zdecydowanej większości społeczeństwa bez względu na to, czy wywodzą się z komunistycznej tzw. lewicy, czy też z narodowo-socjalistycznej tzw. prawicy. Opcja polityczna nie ma w tej materii żadnego znaczenia. Priorytet zatrudnienia i wzrostu gospodarczego nie budzi niczyich zastrzeżeń. Jak na ironię bowiem, obydwie opcje polityczne podpierają się tą samą teorią reprezentowaną przez tzw. główny nurt teorii ekonomicznej bazującej na keynesizmie. U podstaw tej teorii leży prawdziwa obserwacja, że chcąc cokolwiek kupić, trzeba mieć pieniądze, a im jest ich więcej, tym więcej można kupić. A stąd już tylko jeden krok do intuicyjnie logicznego wniosku, że od ilości pieniędzy zależy rozwój gospodarczy, zatrudnienie, dobrobyt itp. Logika ta wydaje się tak oczywista, że nikomu nie przychodzi do głowy, aby ją zakwestionować.

Przedmiotem gorących sporów jest jedynie sposób, w jaki należy zwiększać ilość pieniędzy w obiegu. Jedni chcą, aby to rząd dostawał na żądanie potrzebną ilość pieniędzy i dzielił je zgodnie z programem zapisanym w ustawie budżetowej, argumentując naukowo, że w ten sposób następuje najszybciej zwiększenie globalnego popytu, a ponadto wywołuje się efekt mnożnikowy, który powoduje, iż każda złotówka wydana z budżetu państwa przekłada się na wzrost PKB o więcej niż złotówkę. Inni natomiast twierdzą, że aktywna polityka budżetowa rządu nie jest wskazana ze względu na tzw. opóźnienia czasowe, które powodują niebezpieczeństwo działania procyklicznego zamiast antycyklicznego. Z tego powodu uznają, iż najlepiej, aby to bank centralny prowadził albo politykę stałego tempa wzrostu podaży pieniądza, dostosowanego do tempa wzrostu gospodarczego, albo też politykę doraźnych zmian warunków na rynkach finansowych w celu wywołania pożądanых zachowań podmiotów gospodarczych, które spowodują odpowiednie zmiany popytu i wywołają wzrost gospodarczy i wzrost zatrudnienia.

Najciekawsze jest jednak to, iż w praktyce nie chcą działać te mechanizmy, którym jeszcze parę lat temu przypisywano wpływ na procesy gospodarcze. Nie tak dawno na przykład podwyższanie stopy procentowej wydawało się prowadzić do zmniejszenia popytu, a jej obniżka – do wzrostu tego popytu. Tymczasem coraz częściej na świecie daje się zaobserwować, że obniżanie stóp procentowych, także w wyrażeniu realnym, nie prowadzi ani do wzrostu popytu konsumpcyjnego, ani też do ożywienia w sferze inwestycji. Nie tak dawno uważano, że inflacja jest zjawiskiem towarzyszącym szybkiemu wzrostowi gospodarczemu i spadkowi bezrobocia, że jest wobec tego swoistą ceną rozwoju, którą warto w takim wypadku zapłacić. Obecnie zaś nie brak przykładów krajów przeżywających głęboką recesję i zarazem trawionych inflacją (jest to tzw. stagflacja). Podobnie nie chce działać wspomniany mnożnik wydatków budżetowych, mimo iż w wielu krajach dług publiczny spowodowany wiarą w ten mechanizm prze-

kracza połowę, a są i takie, gdzie jest znacznie większy od ich rocznego produktu krajowego.

To wszystko powinno skłaniać do refleksji, do stawiania pytań o słuszność uznawanej teorii i o zasadność budowanej na niej praktyki.

Zamiast tego jednak zarówno z lewej, jak i z prawej strony sceny politycznej co rusz odgrzewane są pomysły na wprzęgnięcie Narodowego Banku Polskiego w proces pobudzania wzrostu gospodarczego poprzez manipulację pieniądzem. Marnym pocieszeniem jest to, że takie ciągoty wykazują także politycy takich krajów uprzemysłowionych, jak Niemcy, czy Francja, w których z całą jaskrawością ujawnia się bankructwo tzw. społecznej gospodarki rynkowej. Są to pomysły nie tylko polityków, ale i wspierających ich doradców ekonomicznych z tytułami profesorskimi. Na razie ich realizacji stoi na przeszkodzie niezależność NBP od rządu oraz wpisany do konstytucji zakaz bezpośredniego finansowania przez NBP deficytów budżetowych. Gdyby jednak udało się usunąć ów nieszczęsny dla manipulatorów zakaz konstytucyjny oraz zlikwidować Radę Polityki Pieniężnej, a do tego zmienić ustawę o NBP w taki sposób, aby w miejsce stabilności cen wpisać jako cel podstawowy wspieranie rozwoju gospodarczego i zatrudnienia, to droga do kasy stanęłaby otworem. Wtedy już nie trzeba by było – jak dziś – kombinować, jakby tu zwiększyć dochody budżetowe bez widocznego zwiększenia obciążeń podatkowych, co zawsze grozi utratą poparcia społecznego, a wystarczyłoby jedynie zlecić bankowi centralnemu emisję i objęcie nowej serii nisko oprocentowanych obligacji skarbowych i pieniądze na „pobudzanie” rozwoju od razu by się znalazły. Rzecz tylko w tym, że jedynymi efektami takiego pobudzania wzrostu gospodarczego są inflacja oraz przyrost długu publicznego, którego wielkość określa rozmiary fikcyjnego majątku gospodarki narodowej.

Komu szkodzi inflacja?

Przyczyna szkodliwości inflacji tkwi w roli i funkcjach pieniądza. Pieniądze są najczęściej wręczane jako wynagrodzenie temu, kto sprzedał komuś innemu jakieś dobro lub wykonał potrzebną mu usługę. Od tej chwili ich posiadacz nabywa prawo do zakupu tego, co sam potrzebuje. Prawo to jest ucieleśnione właśnie w posiadanych pieniądzech. Ich wykorzystanie nie musi następować od razu; w większości wypadków wydatkowanie osiągniętych dochodów jest rozłożone w czasie, a bardzo często ich część jest oszczędzana na późniejsze wydatki. Jeżeli jednak ceny na rynku rosną wskutek procesów inflacyjnych, to posiadacz pieniędzy na tym traci, tym więcej, im szybsze tempo inflacji i im dłużej zwleka z zakupami. Jest zatem karany dlatego, że jest oszczędny i nie wydaje swojego dochodu natychmiast.

Inflacyjny wzrost cen jest szczególnie szkodliwy wtedy, gdy oszczędności gromadzone są przez dłuższy czas z myślą o zainwestowaniu ich w działalność

gospodarczą, a więc gdy mają stać się kapitałem, który ma zapewnić oszczędzającemu środki utrzymania na przyszłość, oraz w przypadku odkładania oszczędności „na starość”. Roztropność i oszczędność były zawsze uważane za pożądane cnoty i takimi powinny pozostać. Cnotliwe zachowanie zaś nie powinno być powodem ponoszenia strat. **Państwo uczciwe** powinno zatem dokładać wszelkich starań, aby oszczędni nie ponosili strat z tego powodu, że są oszczędni. Powinno używać wszelkich metod, aby pieniądz miał stałą siłę nabywczą. To jest bowiem dowód uczciwego traktowania obywateli przez władzę i zarazem oznaka zdrowia gospodarki.

Podobnie szkodliwy jest wzrost cen w drugim wypadku, w którym wręcza się komuś pieniądze, a mianowicie przy spłacie zaciągniętego wcześniej długu. Stosowana zawsze w takich wypadkach zasada nominalizmu wymaga, aby zwrócić kwotę pożyczoną. Jeżeli ceny w międzyczasie wzrosły, kwota odzyskana ma mniejszą siłę nabywczą niż w momencie udzielania pożyczki, przez co wierzyciel ponosi stratę. To także jest nieuczciwe. Sądzę, że to są wystarczające powody, aby dbać o stabilność cen. Jestem również przekonany, że właśnie takie przesłanki legły u podstaw zapisów ustawowych, które nakładają na banki centralne w niektórych krajach obowiązek dbania przede wszystkim o stabilność cen.

Stabilność cen została wpisana jako podstawowy cel działania banku centralnego także do ustawy o Narodowym Banku Polskim. Oceniam ten fakt jako zwycięstwo uczciwości nad polityką. Uważam też, że **celu tego należy bronić wszelkimi siłami**. Nie jest to bowiem walka jedynie o to, aby jeden z wielu wskaźników makroekonomicznych był na odpowiednim poziomie, ale jest to walka, w wyniku której albo zwycięży uczciwość jako podstawowa zasada życia publicznego, albo też zostanie zastąpiona przez amoralne hochsztaplerstwo.

Z sygnałów płynących z ul. Wiejskiej w Warszawie już teraz mogę wnioskować, że z reklamowanych w czasie kampanii wyborczej dwóch przymiotów państwa, zostanie co najwyżej siła. Do takiego wniosku skłaniają inicjatywy ustawodawcze mające na celu narzucenie Narodowemu Bankowi Polskiemu obowiązku wspierania polityki gospodarczej rządu. Inicjatywy te są dokładnym zaprzeczeniem deklaracji o budowaniu państwa uczciwego wobec obywateli. Ich efektem będzie bowiem jedynie inflacja, czyli podstępne pozbawianie efektów ciężkiej pracy tych, którzy oszczędzają z myślą o przyszłości.

Co powoduje inflację?

Trzeba jasno powiedzieć, że ceny rosną nie dlatego, że prywatni kapitaliści są pazerni i windują je, bo chcą bogacić się kosztem kupujących. Za wzrostem cen stoją zawsze i wszędzie wyłącznie rządzący, którzy używają do płacenia za nabywane dobra i usługi pieniądza tworzonego z niczego. Dawniej używali do tego papierowych asygnat, ale od momentu, gdy Wigowie wymyślili

w 1694 r. Bank Anglii, pierwszy w dziejach świata bank centralny, który finansował wojnę Wilhelma III z Francuzami, rządzący mają lepsze rozwiązanie; wykorzystują mianowicie obligacje skarbowe „sprzedawane” dla niepoznaki państwowemu bankowi centralnemu. Finansowanie króla przez Bank Anglii nie miało teoretycznej podbudowy i odbywało się w zupełnie innym systemie pieniężnym, który formalnie ograniczał możliwości stosowania tzw. emisji fiducjarnej, czyli emisji pieniądza mającego „pokrycie” w długach władcy, ale dzisiejsi władcy mają już za sobą armię teoretyków ekonomii reprezentujących tzw. główny nurt teorii ekonomii politycznej inspirowany naukami J.M. Keynesa, a ponadto nie ma w dzisiejszych systemach monetarnych żadnych formalnych barier dla emisji pieniądza.

Gdzie tkwi błąd?

Za mało tu miejsca na to, aby omówić wszystkie błędy wspomnianych teorii. Wymienię zatem tylko niektóre z nich, odsyłając zainteresowanych do mojej książki pt.: „Manowce keynesizmu”¹.

Nie jest prawdą, że podstawowym wyzwaniem, przed którym stoi ludzkość, które jest zarazem podstawowym wyzwaniem dla ekonomii jako nauki, jest szukanie sposobu na to, aby zaspokoić nieograniczone potrzeby ludzkie przy ograniczonych zasobach przyrody. Potrzeby każdego człowieka, a tym samym wszystkich ludzi, są jak najbardziej ograniczone. Czynnikiem ograniczającym jest gotowość do spełnienia warunków wymaganych dla ich zaspokojenia. Jeżeli ktoś nie jest skłonny zapłacić ceny chleba żądanej przez piekarza, nie jest w istocie głodny. Owszem, pewnie chciałby jeść, ale jedynie na cudzy rachunek. Taki człowiek nie ma potrzeby, a jedynie władza nim chciejstwo. Potrzeby a chciejstwo to dwie różne rzeczy. Jak dotąd teoria i polityka są budowane na bazie chciejstwa.

Nie jest prawdą, że siła robocza, którą dzisiaj określa się raczej mianem kapitału ludzkiego, jest towarem na rynku pracy, i że cena tego „towaru” jest kształtowana przez prawo podaży-popytu. **Ludzie są** zawsze i wszędzie wyłącznie **podmiotami** zawierającymi transakcje na rynku. Praca ludzka wykonywana na czyjeś zamówienie jest zawsze świadczeniem określonego rodzaju usługi, która zaspokaja konkretną potrzebę pracodawcy. To **usługa jest towarem**, a nie siła robocza, i usługa jest przedmiotem wyceny. Teorie traktujące pracę jako jeden z tzw. czynników produkcji, a więc jako towar, są – delikatnie mówiąc – pomyłką.

Nie jest prawdą, że pracownik najemny i pracodawca są dla siebie konkurentami i że korzyść jednego musi oznaczać uszczerbek dla drugiego. Obaj są ludźmi, którzy dokonują między sobą dobrowolnej wymiany ekwiwalentnych świadczeń zaspokajających ich potrzeby. Są zatem osobami, których **współpraca przysparza im obu jednakowych korzyści**.

Nie jest prawdą, że etap produkcji, na którym powstają określone dobra, oraz następujący po nim etap dystrybucji, na którym dobra te trafiają do ich nabywców, różnią się pod względem istoty zachodzących tam procesów ekonomicznych. Wręcz przeciwnie, na każdym etapie powstawania towaru i jego przesuwania do ostatecznego nabywcy odbywa się identyczny co do istoty proces wymiany świadczeń pomiędzy producentem względnie handlowcem, czyli aktualnym właścicielem określonej rzeczy, a jego kontrahentami, od których kupuje on takie dobra względnie usługi, w tym usługi pracowników najemnych, które są mu na tym etapie potrzebne, i płaci za nie uzgodnioną cenę. Każdy taki akt wymiany, bez względu na to, co jest jego przedmiotem, oznacza przekazanie kontrahentowi *całości* tego, co mu się należy zgodnie z umową.

To, że w wyniku kolejnych aktów wymiany na etapie produkcji powstają określone dobra przeznaczone do sprzedaży, a na etapie dystrybucji są one tylko przesuwane w kierunku ostatecznego odbiorcy, niczego w tym mechanizmie nie zmienia. Nie znaczy zaś w szczególności, że na etapie produkcji powstaje jakaś wartość, a na etapie dystrybucji wartość ta jest realizowana. Wartość nie jest bowiem obiektywnym atrybutem tworzonych rzeczy, a jest ona tylko powstającym w procesie wymiany rynkowej ilościowym określeniem wielkości ofiary, jaką godzą się ponieść kontrahenci po to, by dostać od drugiej strony to, co potrzebują. Dla nabywcy rzeczy ofiarą jest płacona cena w pieniądzu, a dla sprzedawcy – towar przekazywany w zamian za pieniądze. To jest jedyny sens i znaczenie wartości. Może się bowiem okazać, że oferowane dobra nie znajdują na rynku uznania, a więc okażą się bezwartościowe.

Za nieporozumienie uważam teorię, według której wartość powstaje w procesie produkcji w wyniku skojarzenia dwóch czynników produkcji, jakimi są praca oraz kapitał, a dopiero potem jest dzielona na zyski i płace. Równie fałszywy jest logiczny wniosek, jaki z tej teorii wypływa, a mianowicie, że skoro zyski i płace są częściami składowymi wytworzonej wartości, to zysk przedsiębiorcy powstaje w efekcie wyzysku pracowników najemnych. Jest to absolutna bzdura wynikająca właśnie z błędnej teorii. To tak jakby twierdzić, że sprzedawca czegokolwiek jest konkurentem nabywcy (chyba że ktoś jest zwolennikiem dość naiwnej i często wyrażanej nie wprost opinii, że sprzedawca jest wrogiem nabywcy, bo żąda określonej zapłaty i nie chce oddać mu pożądanых rzeczy za darmo).

Nie jest wreszcie prawdą, że o tempie rozwoju gospodarczego decyduje tzw. globalny popyt, którego struktura i źródła finansowania są obojętne. O rozmiarach popytu na poszczególne dobra i usługi decydują wyłącznie potrzeby tych ludzi, którzy dla ich zaspokojenia są skłonni robić to, co jest potrzebne innym, a w szczególności – sprzedawać takie dobra lub świadczyć takie usługi, jakie chcą kupować inni ludzie. Jedynym zatem prawdziwym źródłem finansowania popytu są dochody (bieżące lub przyszłe) ludzi sprzedających swoje świadczenia. Ci, którzy nie osiągają dochodu, bo nie mają do zaoferowania rzeczy lub

usług *potrzebnych innym*, dobrowolnie znajdują się poza rynkiem, a ich potrzeby nie mają wpływu na rozmiary globalnego popytu.

Natomiast popyt tzw. sektora publicznego, czyli popyt ze strony ludzi reprezentujących państwo, może być zaspokajany wyłącznie w drodze wyłączenia obywateli. Jako abstrakcyjna osoba prawna państwo nie może samodzielnie osiągnąć dochodu. Reprezentujący je ludzie mogą zatem jedynie dzielić i konsumować to, co zabiorą poddanym. Jeżeli więc zabierają *otwarcie* za pomocą różnych podatków i opłat większą lub mniejszą część efektów pracy swoich obywateli, to postępują uczciwie, bo po prostu robią użytek z przysługujących im uprawnień władczych, niezależnie od tego, w jak dużym stopniu dokonują redystrybucji tych efektów. W takim wypadku jest oczywiste, że większy popyt ze strony sektora publicznego musi być okupiony, *ceteris paribus*, odpowiednio mniejszym popytem ze strony obywateli. Zasada ta dotyczy również przypadku finansowania deficytu budżetu w danym roku długiem publicznym zaciąganym u obywateli, ponieważ jego spłata może nastąpić wyłącznie kosztem ograniczenia wydatków w następnym okresie. Tak finansowany popyt publiczny nie przyczynia się do powiększenia popytu globalnego, a jedynie może przesuwając go w czasie.

Natomiast jeżeli władze publiczne sięgają do kreacji pieniądza jako sposobu finansowania wydatków przekraczających uzyskane wpływy z wszelkich danin publicznych, a sprzedaż bankowi centralnemu obligacji skarbowych prowadzi właśnie do tworzenia, czyli kreacji, dodatkowej ilości pieniądza, to postępują tak samo jak ci, którzy fałszują pieniądze. Od zwykłych fałszerzy różni ich jedynie to, że czynią to *lege artis*.

Pieniądz może pojawić się na rynku w wyniku zaciągniętego kredytu, ale tylko wtedy, gdy antycypuje dochód dłużnika, czyli gdy prowadzi do tego, że dłużnik wykona na rzecz innych jakieś świadczenie, za które dostanie zapłatę, i osiągnięty w taki sposób dochód przeznaczy na spłatę swojego zadłużenia. W takich bowiem okolicznościach roszczeniu (należności) posiadacza pieniędzy do dóbr i usług rynkowych odpowiada zobowiązanie do dostarczenia dóbr bądź usług rynkowych przez dłużnika. Jest więc wtedy na rynku zarówno uprawniony, jak i zobowiązany. Jeżeli natomiast pieniądz pojawia się na rynku jako skutek zaciągnięcia długu przez władze publiczne, to jest oczywiste, że żadne nowe świadczenie nie powstanie, bo nie istnieje fizycznie podmiot, który miałby to zrobić. W takim wypadku istnieje uprawniony do otrzymania dóbr i usług rynkowych, jest nim posiadacz pieniędzy, a nie ma zobowiązanego do ich dostarczenia. Na tym właśnie polega oszustwo popełniane przy kreacji pieniądza dla sfinansowania deficytu budżetowego.

Dopóki Rada Polityki Pieniężnej ma obowiązek dbania przede wszystkim o stabilność pieniądza i dopóki Narodowy Bank Polski ma konstytucyjny zakaz bezpośredniego finansowania długu publicznego, dopóty możliwości

takiego oszustwa są mniejsze. Jeżeli jednak podstawowym celem NBP stanie się wspieranie polityki rządu i zostanie w tym celu zmieniona konstytucja, wówczas pieniądź, i to co się za nim kryje, zostanie złożone na ołtarzu politycznego szalbierstwa. Sztandar, pod jakim to nastąpi, nie ma tu żadnego znaczenia.

Przypisy

- ¹ R. Szewczyk: „*Manowce keynesizmu*”, BCF, Bochnia 2005.